

Krótki esej o zarządzaniu nauką

Gdzieś na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku odbyło się na UJ spotkanie ze S. Olszowskim, odpowiedzialnym za naukę w Biurze Politycznym PZPR. Stwierdził on, że priorytetowe będą te badania podstawowe, które prowadzą do ich aplikacji w praktyce. W dyskusji zauważyłem, że wedle szacunków dokonanych w najbardziej rozwiniętych krajach, jeśli 10% badań podstawowych prowadzi do praktycznych skutków, to jest to bardzo dobry rezultat, a więc może lepiej zwiększyć, oczywiście w ramach możliwości, pulę, od której odcinany jest praktyczny kupon, niż planować konkretne rozwiązania teoretyczne wedle ich aplikacyjnych efektów. Odpowiedział (pamiętam słowa): „Ma pan rację, ale będziemy postępować tak, jak powiedziałem”.

Nie mam zamiaru twierdzić, że wracamy do sytuacji sprzed ponad 40 lat, ale słysząc np., że niedostatkami nauki polskiej jest jej zbyt mała innowacyjność lub niewielkie umiędzynarodowienie, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że styl myślenia polityków o sprawach naukowych jednak przypomina to, co już przerabialiśmy. Jest rzeczą oczywistą, że współczesna nauka jest wyspecjalizowaną i kosztowną dziedziną życia społecznego. Wymaga polityki naukowej, w szczególności w sensie administrowania zasobami, tj. kadrami, infrastrukturą badań i funduszami. Sami naukowcy temu nie poddają. Stąd potrzebne są instytucje zarządzające nauką, w tym także stawiające cele, które mają osiągnąć placówki prowadzące badania. Wszystko to jednak musi opierać się na zrozumieniu, czym jest nauka i jak działa.

Nie miejsce tutaj na rozwijanie teorii nauki. Ograniczę się do jednej tylko kwestii. Otóż współczesna nauka ma charakter statystyczny w tym sensie, że taka jest natura nie tylko populacji naukowców (w Polsce – 114 tys., wedle stanu z 2015 r.), ale także zbioru placówek naukowych, (odpowiednio około 1200, o ile brać pod uwagę sumę instytutów badawczych i ocenianych jednostek szkół wyższych). Jeśli tak jest, to prawidłowości w obu tych zbiorowościach, w szczególności dotyczące się jakości wyników naukowych podlegają zasadom statystyki. Znaczy to, że mają miejsce stosowne rozkłady. Nawet jeśli nie wiemy dokładnie, jakie krzywe je reprezentują (podejrzewam, że dane dla Polski są bardzo przybliżone), trzeba przyjąć, że zdecydowana większość naukowców i placówek, w których pracują, ma charakter przeciętny (zaraz wróć do znaczenia tego terminu), natomiast istnieją marginesy (niekoniecznie niewielkie) ponadprzeciętne (tj. o bardzo wysokiej jakości) i poniżej przeciętne (tj. o bardzo niskiej jakości).

Gdy potocznie mówimy o przeciętności, brzmi to pejoratywnie. W przypadku statystycznym tak oczywiście nie jest. Przeciętna jakość prac naukowych wcale nie musi być niska, aczkolwiek nie są to osiągnięcia wybitne (przy wszystkich kłopotach ze stosowaniem kryte-

riów ewaluacyjnych). W konsekwencji osiągnięć ponadprzeciętnych jest stosunkowo niewiele (znowu w skali statystycznej), podobnie jak bezwartościowych. Jest rzeczą oczywistą, że celem racjonalnej polityki naukowej jest stworzenie warunków do maksymalizacji poła ponadprzeciętnego oraz minimalizacji – poniżej przeciętnego. Drugiego i tak nie sposób wyeliminować, a pierwszego przekształcić w statystycznie dominujący. Taka jest istota rzeczy, by nie rzec wręcz – prawo natury. Moim zdaniem kluczową sprawą jest to, aby to, co przeciętne (w wyżej wyluszczonej znaczeniu), reprezentowało możliwie wysoki poziom, aczkolwiek – jeszcze raz – niekoniecznie wybitny.

Z tego wypływają pewne postulaty dotyczące przygotowywanej reformy nauki i szkolnictwa wyższego. Po pierwsze, obecny poziom nakładów na naukę i szkolnictwo wyższe proteguje poziom poniżej przeciętny kosztem dwóch pozostałych. Po drugie, przesada w oczekiwaniach dotyczących innowacyjności przypomina politykę naukową z lat siedemdziesiątych (por. początek niniejszego tekstu). Po trzecie, ciągle oczekuje się wysypu wybitności, ale warto skorzystać z aforyzmu S. J. Leca „Latoś obrodziło geniuszami, może znajdzie się jeszcze kilku zdolnych”. Mówiąc poważnie, oczekuje się, że kształcenie doktorów wyprodukuje prawie samych przyszłych luminarzy, ale to jest zwyczajna mrzonka. Ponadprzeciętni zawsze znajdą się, wystarczy im nie przeszkadzać, natomiast przeciętnym trzeba pomagać w rozmaity sposób. Po czwarte, postulat umiędzynarodowienia nie liczy się z rozmaitymi realiami warunkującymi ten proces.

Piszący te słowa ma pewne doświadczenie związane z umiędzynarodowieniem filozofii polskiej. Zapropnowałem organizatorom Narodowego Kongresu Nauki zorganizowanie dyskusji, może panelu, na ten temat, ale propozycja została zignorowana. A jest o czym porozmawiać, np. o skutkach tzw. punktozy (kwestia dotyczy nie tylko obecności Polaków w międzynarodowym obiegu naukowym, ale także parametryzacji na użytek zewnętrzny), polskich czasopismach i wydawnictwach o charakterze międzynarodowym, obecności naszych uczonych na poważnych imprezach naukowych za granicą, możliwości organizowania takich w Polsce, charakterze rankingów uczelni czy szczegółach cytowania na międzynarodowych forach naukowych.

Reasumując: oczekiwania i chęci są duże, ale uzasadniona jest obawa, że rozwiązania legislacyjne i poczynania je wdrażające nie opierają się na właściwym (przynajmniej nie do końca) rozeznaniu potrzeb i możliwości nauki polskiej. Kluczem jest to, czy sektor nauki zostanie zbiurokratyzowany i może nawet upolityczniony przez zewnętrzne sterowanie, czy też zyska zrozumienie i poparcie ze strony polityków.

JAN WOLEŃSKI